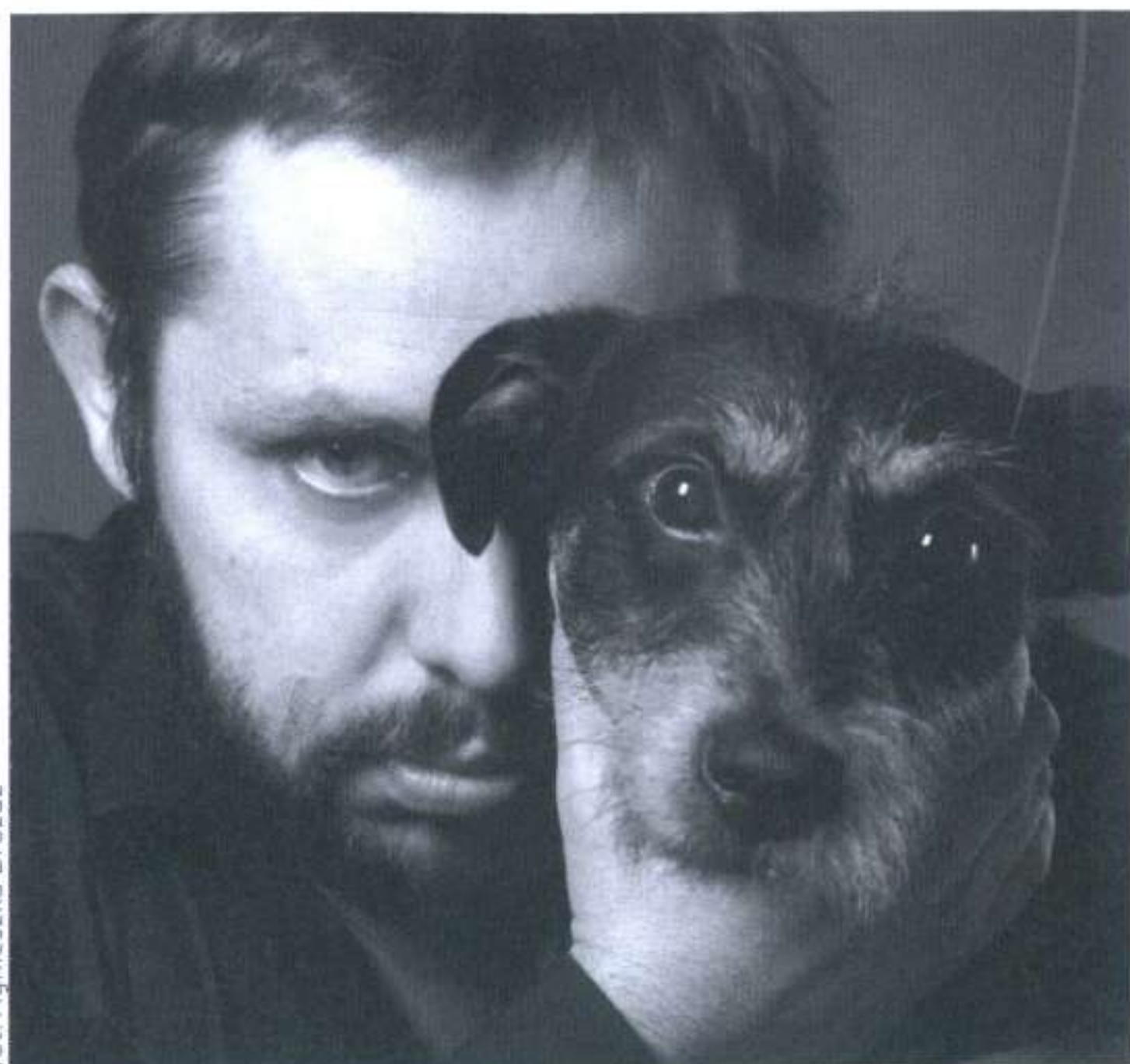




fol. Agnieszka Drożdż

NIE MA DEMOKRACJI

AUTOR: ARTUR PAŁYGA

W teatrze nie ma demokracji – snuje się to hasło po teatralnych korytarzach, salach prób, dyrektorskich gabinetach, po scenach i kulisach, przyjmowane jako oczywistość zamyka dyskusję. A dlaczego nie? Na to pytanie się nie odpowiada. Na to pytanie się prycha albo się kręci głową, że co tu w ogóle jest do tłumaczenia. W teatrze nie ma demokracji i już. Co by to było, gdyby w teatrze była demokracja?

– Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby dupa zaczęła rządzić głową? Zresztą nie wiem, może u pana rządzi, może pan jest demokratyczniej zbudowany.

Albo w mniej przaśnej wersji:

– Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby na przykład w szpitalu różni pracownicy debatowali i głosowali wspólnie z lekarzami, jak pana leczyć?

Albo klasyczne:

– Kapitan na statku jest tylko jeden.

Krzesło służy do siedzenia, a młotek do wbijania gwoździ. Na stole się je i pije. Na nogach się chodzi. Spodnie zakłada się raczej od dołu niż od góry. Głównym składnikiem zupy jest woda. Musi być ktoś, kto miesza zupę. Papierosa wkładamy do ust od strony filtra, bo będzie śmierdziało. Słońce wschodzi na wschodzie. Góry są wypukłe, a doliny wklęsłe. Człowiek doi krowę, nie krowa człowieka. Jest nieskończona ilość argumentów przeciwko demokracji w teatrze.

Świat stanąłby na głowie i szorował językiem po ziemi, gdyby każdy miał równoprawny głos, jaki ma być ten teatr, który jest jego miejscem pracy, w którą stronę ma zmierzać i jakimi drogami. Żaden spektakl nie miałby prawa się udać, gdyby na próbach każdy miał tak samo ważny głos, co i jak robić. Wiadomo, od czego jest aktor i jak co jest aktor.

Tak sobie gadaliśmy z Pawłem Łysakiem podczas pracy nad *Trumpem i polem kukurydzy*, że gdyby zrobić taki Kler Smarzowskiego o polskim teatrze, to też by było. Mocno hierarchiczna instytucja, która co innego głosi, a co innego robi, i wszystko potrafi sobie jakoś uzasadnić. I sytuacji by nie brakowało.

No więc teatr to nie statek i zupełnie nie o to samo w nim chodzi co podczas żeglugi, reżyser to nie lekarz, dyrektor nie cesarz, a to nie jest fajka.

Wiadomo, są sytuacje, kiedy ludzie chcą mieć wodza, silnego buhaja, który ich trochę nawet upokorzy, trochę przeczolga, trochę nadużyje władzy, ale daje poczucie bezpieczeństwa. Są ludzie, którzy uważają, że taka sytuacja jest przeważnie. Ale to nie znaczy, że tak musi być. I teatr, który chce być i bywa narzędziem demokracji, nie musi być autorytarny i przemocowy. Może być taki jak rzeczywistość, którą postuluje. Może być demokratyczny w każdym swoim aspekcie. I, wybiegam naprzeciw kpinom, nie chodzi o to, że teraz strażak będzie grał, a aktor pilnował, żeby nikt nie palił, a w przyszłym tygodniu się zmienia. Demokracja to wymiennosc funkcji, a nie zawodów i umiejętności. To realna współdecyzyjność, a nie zabawa w berka.

Piszę to świeżo po próbach *Trumpa* w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, podczas których o tym rozmawialiśmy i trochę tego doświadczyliśmy. Bo w tę stronę Paweł Łysak popchnął te próby. W stronę wspólnych, na próbach, dyskusji, co i jak robimy, w którą stronę idziemy, o czym opowiadamy, co chcemy przeprowadzić, gdzie się ustępowało i wycofywało, ponieważ inni myśleli inaczej, gdzie szukało się wspólnie innej drogi, jeśli dotychczasowa została odrzucona, gdzie nikogo się do niczego nie zmuszało, nic się nikomu nie narzucało, nikogo się nie nakłaniało do niczego.

Oczywiście nie wiem, jak by to wyglądało, gdyby w grupie znalazł się ktoś, jeden, drugi, kto się nie załapał i nie bardzo ma ochotę na to rozkminianie, i wołałby po prostu usłyszeć od szefa, co ma robić. Nie wiem, może powinien dostać to, co chce. Może ci rozkminiający powinni mu wymyślić wspólnie, co ma robić. A prowadzący próbę reżyser jest wtedy kimś, kto sprawia, że to się wszystko może wydarzyć. Jego zawód i umiejętności predestynują go do tego, że całe to otwarte, demokratyczne zdarzenie inicjuje i prowadzi. A mnie, że piszę ten tekst, a nie wychodzę na scenę. I piszę kolejną scenę po dyskusji, jaką mieliśmy na próbie, a oni, po dyskusji, zagrają ją albo nie. I powiem tak: to była taka praca, za której każdą godziną się tęskni.

A jeśli ktoś zapyta:

– Czy nie lepszy i ciekawszy efekt artystyczny można osiągnąć zamordyzmem, surową dyscypliną, manipulacją, przemocą i upokarzaniem, oszustwem, dyktaturą, nieznoszeniem sprzeciwu, niecofaniem się ze z góry założonych pozycji, artystycznym absolutyzmem, rozgrywaniem ludzi, wyciąganiem z nich tego, czego nie chcą, żeby z nich wyciągać, traktowaniem ich jak instrumenty w koncercie, który chce zagrać Artysta, który ma intuicję, wie lepiej i, proszę państwa, po prostu tylko nie przeszkadzać!

Wtedy odpowiem pytaniem:

– A czy naprawdę najważniejszy jest efekt artystyczny?

Kiedy sam usłyszałem to pytanie od Łysaka, jak szliśmy na pociąg, to aż mnie zatrzymało ze zdziwienia. Czy naprawdę chodzi o to, żeby robić jak najwięcej premier, z których każda ma osiągnąć megaefekt artystyczny? Więc o co?

I chcę zostawić to pytanie w zawieszeniu. Bo wtedy lepiej pracuje. ■